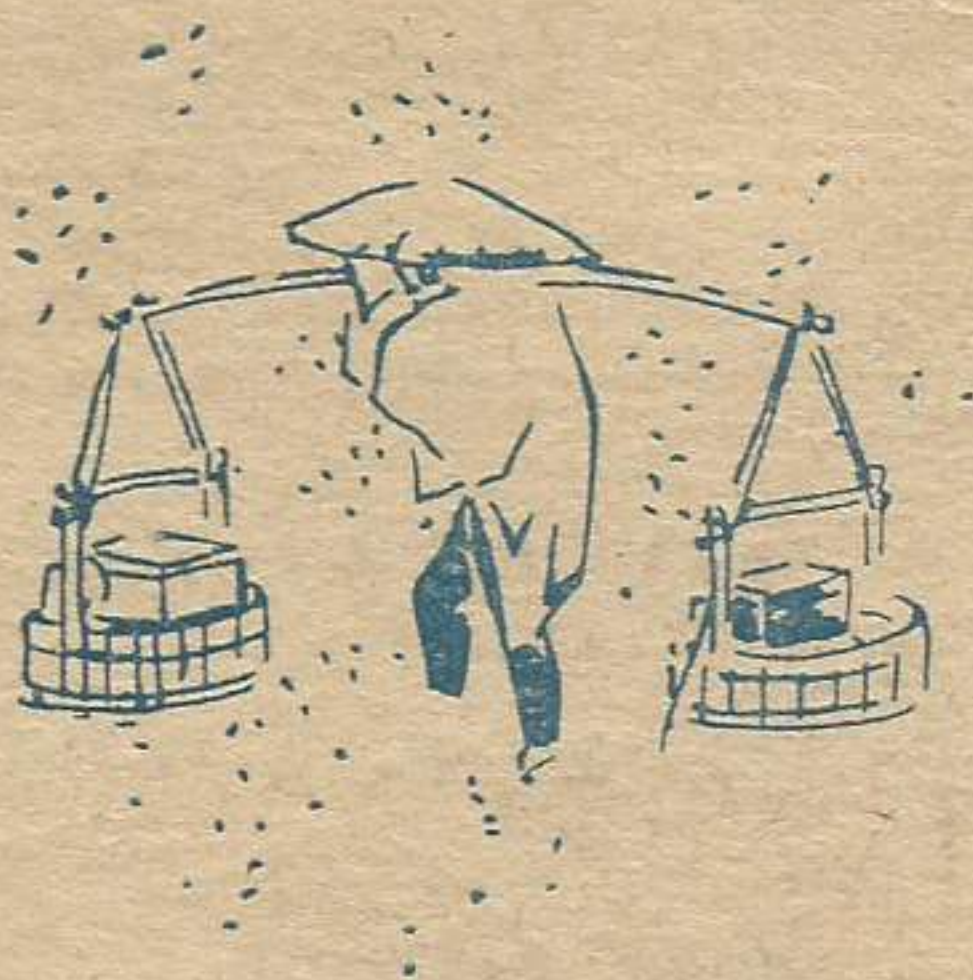


POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 3 (11)

WARSZAWA

1954

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY I UTWORY LITERACKIE

Franciszek Trawnicki, <i>Penetracja amerykańska w Wietnamie po II wojnie światowej</i>	203
Borys Eppel, <i>Kilka uwag o prasie tureckiej 1953 roku</i>	215
Ananiasz Zajączkowski, <i>Z dziejów orientalizmu polskiego Doby Mickiewiczowskiej</i>	221
Szems-ed-Din Hafiz Szirazi, <i>Gazel</i> (przełożył z perskiego Ananiasz Zajączkowski)	246
Jan Reychman, <i>Próby organizacji orientalistyki polskiej w Dobie Mickiewiczowskiej</i>	247
<i>Pieśń harfiarza</i> , (przełożył z egipskiego Tadeusz Andrzejewski)	265
Mori Ōgai, <i>Łódź „Takase”</i> (przełożył z japońskiego Wiesław Kotański)	267
<i>Atābāt</i> , (przełożył z arabskiego Władysław Tubielewicz)	275
Sabahattin Ali, <i>Czajnik</i> (przełożył z tureckiego Edward Tryjarski)	277

Z PRACOWNI REKOPISÓW ORIENTALNYCH

Renata Kohnowa, <i>Zbiory rękopisów wschodnich w bibliotekach wrocławskich</i>	283
Eugeniusz Słuszkiewicz, <i>Trzy rękopisy ormiańskie z I-ej połowy XVII w. ze zbiorów polskich</i>	292

MATERIAŁY I NOTATKI

Tadeusz Andrzejewski, <i>Odnalezione „Nauki księcia Dedefhor”</i>	295
Włodzimierz Zajączkowski, <i>O poprawną pisownię imion i nazw orientalnych</i>	296
Aleksander Dubiński, <i>Pawilon PRL na Międzynarodowej Wystawie w Izmirze</i>	297
Wiesław Tomaszewicz, <i>Nieznany przekład H. Sienkiewicza na język turecki</i>	298

RECENZJE

Z książek:	
Jan Reychman, <i>Oczerki po istorii russkogo wostokowiedienija</i>	299
Witold Jabłoński, <i>Ludwika Rodziewicz, Historia sztuki chińskiej</i>	303
Stanisław Kałużyński, <i>Łukasz Hirba, Nowa Mongolia</i>	304
Aleksander Dubiński, <i>Akadiemiku Władimiru Aleksandrowiczu Gordlewskomu k jego siemidiesiatipiatiletju. Sbornik statiej</i>	307
Stanisław Kałużyński, <i>S. I. Rudenko, Kultura nasilenija gornogo Altaja w skifskoje wremja</i>	310
Notatki bibliograficzne:	
Włodzimierz Zajączkowski, <i>Dorobek wydawniczy turkologii radzieckiej w latach 1951—1953</i>	312
Z czasopism	

KRONIKA

Zygmunt Rysiewicz	
Z ruchu naukowego na polu orientalistyki:	315
Międzynarodowy Zjazd w Teheranie z okazji 1000-lecia Awicenny	315
XIII Zjazd Orientalistów Polskich w Warszawie	315
Uczczenie pamięci akademika I. J. Krackowskiego przez delegację egipską w Leningradzie	317
Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie	317

SPIS TABLIC

Do przekładu A. Zajączkowskiego: Szems-ed-Din Hafiz Szirazi <i>Gazel</i>	Tab. I—II
Do art. R. Kohnowej, <i>Zbiory rękopisów wschodnich w bibliotekach wrocławskich</i>	Tab. III—IV

*

Winieta na okładce przedstawia tragarza w zawiei śnieżnej według rysunku malarza japońskiego Ando Hiroshige (1797—1825)

SZEMS-ED-DIN HAFIZ SZIRAZI

GAZEL*

W tych czasach wierni i niezlomni —
dwaj tylko przyjaciele:
Gąsiorek wina z czystym płynem
i korab — zbiór gazeli¹.

Z ładunkiem lekkim w drogę ruszaj,
prawości ścieżka — wąska.
Ze sobą weź li szklany kielich,
co życie rozweseli.

Nie tylko ja znudzony tęsknię
na świecie tym beczynnie.
Wszak mędrcy tęsknią też: bez praktyk
wiedza nie warta wiele.

Rozumu oko gdy obejmie
szlaki zamętu, wrzenia,
Ten świat i jego sprawy wyjrzą
niepewne i bez celu.

Głęboko w sercu mym ufałem,
że spotkam cię w złączeniu,
Lecz śmierć na tym gościńcu życia
łupi — jak zbój — nadzieje.

Darz loki swej księżycolicej
pieszczotą, porzuć klechdy.
Los szczęścia, klęski z gwiazd układu
Wenera, Saturn² dzielą.

W okresie żadnym go nie znajdą
trzeźwego, przytomnego.
Wszak Hafiz nasz jest upojony
odwiecznym winą chmielem.

Przełożył z perskiego
Ananiasz Zajączkowski

* Perski tekst tego gazelu (bez ostatniego wiersza) zawiera reprodukowana obok karta z miniaturą, ilustracją tego gazelu, ze zbiorów Muz. Czartoryskich w Krakowie.

¹ „Korab — zbiór gazeli” — w oryginale *sefine* „okręt, korab”. Tak się nazywa po persku rodzaj albumu o podłużnym kształcie, zawierający zbiór różnych poezji.

² „Wenera, Saturn” — te ciała niebieskie są według poezji perskiej symbolami szczęścia i klęski. Jednocześnie Wenus symbolizuje jasne lica księżyca (szczęście), Saturn zaś czarne loki (klęska).

PIEŚŃ HARFIARZA*

Jak szczęśliwy ten piękny książę, któremu w udziale przypadło dobre przeznaczenie.

Jedne istoty przemijają, giną,
inne zajmują ich miejsce i trwają;
tak się już dzieje od czasu praojców,
że i bogowie, którzy niegdyś żyli,
dziś spoczywają w swoich piramidach.
Tak samo inni — świetni dostojnicy
dziś — pogrzebani w swoich piramidach,
i ci, co niegdyś wznosili pałace,
z ich siedzib dzisiaj nie ma nawet śladu.
A teraz — — co się z nimi dzieje?

*

Słyszałem słowa, które powiedział mędrzec Imhotep i mędrzec Dedefhor, które dziś jeszcze wszędzie się powtarza.

A oni sami — gdzie mają siedzibę,
kiedy ich mury rozpadły się w gruzy,
kiedy z ich siedzib nie ma nawet śladu,
jakgdyby sami nigdy nie istnieli;
nikt przecie stamtąd jeszcze nie powrócił,
by opowiedzieć o swojej istocie
by opowiedzieć nam o swoich sprawach,
i żeby serca nasze uspokoić,
zanim — my sami kiedyś podążymy
tam, dokąd oni już dawno odeszli.

*

*) *Pieśń harfiarza*, poetyckie rozwinięcie zasady *carpe diem*, dochowała się do naszych czasów w kilku wersjach. Podany wyżej przekład został dokonany na pod-

Uraduj się w pragnieniu swoim i spraw, by serce zapomniało o troskach,
bo warto, abyś szedł za głosem swoich pragnień tak długo, jak długo żyjesz.

A więc pachnidłem wonnym głowę namaść
i włóż na siebie muślinowe szaty,
które cudowną wonią przesycone:
bogów zaiste godny to podarek.
Pomnażaj wszystko, co dobre dla ciebie,
nie daj, by w tobie pragnienie wygasło,
spełń je i uczyn, co dobre dla ciebie,
i tak na ziemi ułóż swoje sprawy,
byś nie odmówił żadnemu pragnieniu,
bo dzień narzekań do ciebie też przyjdzie,
gdy nie wysłucha Ozyrys narzekań
i na nic nie zda się oplakiwanie,
by serce ludzkie z grobu zmartwychwstało.



A więc radosnym czyn swój dzień
i niech cię to nie znuży,
bo tam się skarbów nie zabiera,
bo stamtąd się nie wraca.

Przełożył z egipskiego
Tadeusz Andrzejewski

stawie najkrótszej i zarazem najstarszej wersji, według papirusu Harris 500 recto 6,2—7,3. Przekład polski jest tłumaczeniem wolnym, nieuwzględniającym nawiasów sygnalizujących luki i interpolacje tłumacza. Wersja ta została przepisana z grobu króla Intefa (XI dyn. — 21 w. p. n. e.), jak podaje skryba papirusu Harris 500. Inne, rozszerzone wersje pochodzą z XVIII dyn. i z czasów ptolemejskich.

MORI ŌGAI

ŁÓDŹ „TAKASE”

Mori Rintarō, pseudonim literacki Ōgai, urodzony w roku 1862, zmarł w roku 1922 (podawane bywają też daty 1860—1919!). Był synem lekarza z Tsuwano. Wszechstronnie utalentowany, był tłumaczem, powieściopisarzem, dramaturgiem, poetą, lekarzem itd. Już w wieku lat sześciu czytał w oryginale klasyków chińskich. Wkrótce też poznał język holenderski na lekcjach ze znajomym swego ojca, lekarzem Muro Ryōsetsu. W roku 1872 dziesięcioletni Ōgai znalazł się w Tokio. W ciągu dwóch lat opanowuje język niemiecki studiując jednocześnie medycynę w szkole medycznej, a następnie na tokijskim uniwersytecie. Lekarzem został już w roku 1881 w wieku lat 19. Zatrudniony w szpitalu wojskowym pisze tam wyróżniające się prace medyczne, za co zostaje wysłany na dalsze studia medyczne do Lipska i Berlina. Wraca do kraju w roku 1888 i zostaje profesorem w Wojskowej Akademii Medycznej. W dalszych latach zdobywa coraz to wyższe stopnie w hierarchii wojskowej medycyny japońskiej.

Pracę literacką rozpoczął około roku 1888, niewątpliwie pod wpływem literatury niemieckiej, z którą zetknął się w czasie swego pobytu w Niemczech. Akcja pierwszej jego powieści romantycznej, ukończonej w roku 1890 pt. *Maihime* („Tancerka”), a następnie wielu innych rozgrywa się w Niemczech. Ogółem Ōgai może się poszczycić dwudziestotomowym dorobkiem powieściowym. Obok wspomnianej *Tancerki* do słynniejszych należą jego utwory *Utakata-no ki* („Błaha historia”), *Asobi* („Zabawa”). W twórczości swej walczył o niezależność młodej powieści japońskiej. Zasiłał utworami swymi czasopisma „Shigarami-zōshi”, „Mezamashi-gusa”, „Kokumin-no tomo” i „Mita-bungaku”. Jako dramaturg Ōgai napisał co najmniej trzy dobre sztuki — *Urashima*, *Nichiren* oraz *Ikutagawa*. Jako poeta zostawił po sobie jeden tom wierszy. Uchodzi za najbardziej jasnego, pomysłowego i doskonałego pod względem formy pisarza swoich czasów; porównują go w Japonii do Balzaca.

Najwspanialszym jednak pomnikiem, jaki pozostawił po sobie Mori Ōgai, jest jego dorobek przekładowy. Ōgai przełożył i adaptował 67 różnych autorów europejskich, co utworzyło razem bibliotekę tłumaczeń o 97 tomach. Jego antologia poetów Zachodu pt. *Omokage* (*Wyobrażenia*), wydana w roku 1889, silnie wpłynęła na rozwój nowej poezji japońskiej. Adaptował na scenę japońską Ibsena i Strindberga, co nie było bez wpływu na teatr ówczesny. Jako tłumacz jest Ōgai mistrzem nieprześcignionym; przekłady jego są bardzo wierne. Tłumaczył z języka niemieckiego; za pośrednictwem tego też języka przyswoił kulturze japońskiej dzieła autorów innych narodowości. Wymienia się najczęściej jego przekłady Kleista, Hoffmanna, Lessinga, Goethego, z innych zaś Andersena i Calderona.

Nowelę *Takasebune* napisał w roku 1916, gdy w twórczości jego poczęły już przeważać nad romantyzmem elementy realistyczne. Znalazły one swój wyraz w serii powieści historycznych, których bohaterowie doznają krzywd lub widzą krzywdy społeczne, a nawet starają się im przeciwstawić, lecz właściwej drogi wyzwolenia nie potrafili we współczesnych warunkach historycznych znaleźć. Można dodać, że dobór takich właśnie bohaterów historycznych świadczy również o nieprzekraczalnym pułapie literackiego lotu omawianego przez nas pisarza — pułapem tym było pojmowanie przez niego spraw społecznych na poziomie realizmu krytycznego.

W. K.

Łódź „Takase“ kursowała po rzece tej samej nazwy przepływającej przez Kioto. W okresie rządów rodu Tokugawa¹, gdy jakiś przestępca z Kioto został skazany na zesłanie, wzywano jego krewnych do celi więziennej i pozwalano mu się z nimi pożegnać. Potem takich przestępców prowadzono na „Takase“ i przewożono do Ōsaka. Konwojowali ich funkcjonariusze policji pozostający pod rozkazami komendanta miasta Kioto; ci zwykle pozwalali jednemu, bardziej się wyróżniającemu spośród krewnych owego przestępcy towarzyszyć mu na pokładzie łodzi aż do samego Ōsaka. Nie zdarzyło się, żeby wiadomość o tym doszła do zwierzchnictwa, albo patrzono na to — jak to mówią — przez palce; znaczy to tyle, że przyzwalało na to milcząco.

Przestępcy, którzy w owych czasach byli skazywani na zesłanie, rekrutowali się wprawdzie spośród ludzi, którzy — jak uważano — dopuścili się ciężkich przewinień, ale w każdym razie większości ich nie stanowili tacy złoczyńcy, którzy dla grabieży zabijali by ludzi i wywoływali pożary. Ponad połowę złoczyńców jadących na „Takase“ stanowili ludzie, którzy wstąpili na drogę przestępczą bez premedytacji, lecz z tak zwanego braku pełnego rozeznania. Będziemy tu mieć takie wypadki, żeby dać jakiś typowy przykład, gdy mężczyzna zamierzający pierwotnie znaleźć wspólnie z ukochaną śmierć z miłości, zabija swą partnerkę, a sam pozostaje przy życiu.

Z takimi to przestępcami na swym pokładzie łódź „Takase“ pod uderzeniami wiosł wyruszała w porze bicia dzwonów wieczornych i lustrując tonące w zmierzchu na obu brzegach domy miasta Kioto, sunęła w kierunku na wschód, aby wpłynąć ukosem w rzekę Kamo. W łodzi skazańcy i ich krewni rozmawiali przez całą noc o swych przeżyciach. Chociaż nieodmiennie wyrażali skrucę, były to jednak tylko próżne słowa. Funkcjonariusze policji, którzy pełnili służbę konwojentów, słysząc z boku te rozmowy, mogli dokładnie zaznajomić się z okropną sytuacją rodzin, z których pochodzili przestępcy. Niewątpliwie były to sytuacje, o jakie urzędnikom, którzy wysłuchiwali zeznań publicznych w sądach komendantury miejskiej albo odczytywali pisemne zeznania przy urzędniczych biurkach, nawet nie śniło się wypytywać oskarżonych.

Ponieważ ludzie służący w policji także bywają różnego charakteru, zakładamy, że byli wśród nich obojętni, którzy to wszystko uważali po prostu za nieznośne i woleliby zatkać sobie uszy, ale byli też policjanci, którzy głęboko przejęci ludzkim współczuciem, choć z uwagi na charakter swej służby nie pokazywali tego po sobie, milcząc boleli samotnie w swym sercu. Nieraz też wyjątkowo miękkiego serca i sentymentalnie nastawieni funkcjonariusze policji, gdy pilnowali odprowadzanego przez krewnych skazańca, który popadł w niezwykle ciężkie tarapaty, nie mogli powstrzymać się od mimowolnych łez.

Przeto konwojowanie łodzi „Takase“ nie było wśród funkcjonariuszy komendantury miejskiej lubiane i uchodziło za służbę nieprzyjemną.

*

* *

Nie wiemy na pewno, kiedy to było. Załóżmy, że było to na przykład w erze Kansei², gdy rządy w Edo sprawował książę Shirakawa Rakuō. Pewnego wiosennego wieczoru, gdy wokół świątyni Chion-in wiśnie roniły przy

¹ 1603—1868.

² Odpowiednik naszych lat 1789—1800.

dźwiękach dzwonów swe płatki, na „Takase“ przyprowadzono dziwnego skazańca, jakiego dotąd nigdy tu nie bywało.

Był to mężczyzna imieniem Kisuke, mający około 30 lat, bez stałego miejsca zamieszkania. Jak można z tego wnioskować, nie miał on krewnych, których by można wezwać do więzienia, i na łódź wsiadł również jedynie sam. Haneda Skōbej, funkcjonariusz policji wyznaczony na konwojenta, który razem z nim znalazł się na łodzi, słyszał jedynie to, że Kisuke był skazany za bratobójstwo. Gdy więc prowadził go z więzienia na przystań i patrzył na wynędzniałą i bladą postać Kisuke, wydawało mu się, że więzień jest jakiś spokojny i łagodny, że jego samego traktuje jako przedstawiciela władzy i pełen szacunku nie sprzeciwia się żadnym poleceniom. Ale nie była to postawa, jaką niekiedy obserwuje się u przestępców, którzy uzbrajają się w pokorę, aby przypodobać się władzom.

Shobei uznał to za dziwne. Toteż, nawet gdy już byli na łodzi, patrzył nie tylko od niechcenia — jak to bywa na służbie — ale wręcz bez przerwy zwracał dokładnie uwagę na zachowanie się Kisuke.

Dnia tego o zmierzchu wiatr ucichł i nastał wieczór wymarzony, gdy przejrzyste chmurki pokrywające całe niebo pozwalają jak przez mgłę dostrzegać zarys księżyca, a ciepło zbliżającego się nareszcie lata podnosi z obu brzegów i z łożyska rzeki wilgotne opary. Od chwili gdy minawszy południową dzielnicę Kioto wpłynęli w rzekę Kamo, okolica stała się cicha i tylko słyszać było szmer wody, którą pruć dziób łodzi.

Chociaż nocą na łodzi pozwalano spać nawet więźniom, Kisuke nie zamierzał się bynajmniej kłaść, tylko milcząc śledził wzrokiem księżyc, którego światło to rozjarzało się, to przygasało zależnie od gry cienia w warstwie chmur. Twarz jego była pogodna, a w oczach krył się słaby poblask.

Shobei nie patrząc wprost, ani na chwilę nie spuszczał oka z twarzy Kisuke. Powtarzał w zamysleniu: — Jakież to dziwne, jakież to dziwne! Bo twarz Kisuke, czy patrzył na nią z przodu, czy z boku, wydawała mu się jakaś radosna. Zdawało się, że gdyby nie skrepowanie wobec urzędnika, skazany pocznie gwizdać albo mruczeć jakąś piosenkę.

Shobei myślał w głębi serca: — Ileż to już razy konwojowałem łódź „Takase“ tak jak dziś, ale skazańcy płynący na niej zawsze niemal przedstawiali widok jednakowo smutny i zarazem nieprzyjemny. A jak zachowuje się ten człowiek? Ma taką minę, jakby był na przejażdżce łódką spacerową. Mówiono, że zabił swego młodszego brata; ale choćby ów brat był kimś złym i choćby zabił go w niewiadomo jakich okolicznościach, już z samego faktu, że jest człowiekiem, nie powinien mieć tak dobrego samopoczucia. Czyżby ten blady, chudy mężczyzna był owym rzadko na świecie spotykanym typem, pozbawionym zupełnie ludzkich uczuć? Doprawdy, to nie do pomyślenia... A może człowiek ten naraz postradał zmysły? Nie, nie! Na to nie wygląda, gdyż nie można zauważyć u niego ani jednego słowa i ani jednego nieskładnego ruchu. Cóż ten człowiek mógł popełnić? — Shobei im więcej myślał, tym bardziej niezrozumiałe wydawało mu się zachowanie Kisuke.

Po pewnym czasie Shobei nie wytrzymał i zawołał:

— Kisuke, o czym myślisz?

— Słucham? — odpowiedział Kisuke, który rozglądał się dotychczas po niebie, i jakby w obawie, czy urzędnik go o coś nie pyta, wyprostował się śledząc teraz pytająco wyraz twarzy Shobeja. Shobei zorientował się, że za-

dał pytanie zbyt nagle. Poczuł, że trzeba jakoś usprawiedliwić postawienie pytania nie wynikającego z kompetencji służbowej.

Powiedział więc:

— Nie, o nic ważnego nie pytałem. Właściwie już od dawna chciałem zapytać się ciebie o twój nastrój w czasie tej jazdy na wyspy. Wielu już ludzi na tej łodzi odwoziłem na zesłanie. Losy tych ludzi były dość różne, ale każdy z nich smucił się i płakał gorzko przez całą noc wraz ze swymi krewnymi, którzy odprowadzali go na łodzi. Gdy zaś patrzę na twój wygląd, wydaje mi się, że bynajmniej nie uważasz wyjazdu na wyspy za coś bolesnego. Właściwie co ty o tym myślisz?

Kisuke uśmiechnął się z lekka.

— Dziękuję panu, że jest pan łaskaw ze mną rozmawiać. Istotnie wyjazd na wyspy jest chyba przykry dla większości ludzi. Nastrój ich również i ja mogę starać się zrozumieć: oni tak to odczuwają dlatego, że żyli na świecie wygodnie. Kioto jest pięknym miastem, ale myślę, że w tym pięknym mieście nigdzie się nie znajdzie takiej męki, jaką ja dotychczas przeszedłem. Dzięki ludzkiej postawie władz życie zostało mi darowane i wieziesz mnie teraz na zesłanie. Może na tych wyspach będzie nawet ciężko, ale chyba diabły tam nie mieszkają. Nigdzie dotąd nie miałem miejsca, w którym mógłbym być sam. Teraz władze zawyrokowały, żebym jechał na zesłanie. Za to, że mogę jechać tam, gdzie mnie zesłano z wyroku, jestem im niewypowiedzianie wdzięczny. Przy tym, choć mam tak słabe ciało, nigdy jeszcze nie byłem chory, więc i po przeprowadzeniu mnie na wyspy, nawet przy najcięższych robotach, chyba nie dojdzie do tego, żebym się rozchorował. Poza tym po skazaniu mnie na zesłanie obdarowano mnie dwustu monami³ w gotówce. Mam je tu schowane.

To mówiąc Kisuke wskazał ręką na pierś. Było ówczesnym prawem, że skazanym na zesłanie wręczano — tak jak mówił — dwieście monów w miedziakach. Kisuke ciągnął dalej.

— Wstyd to może powiedzieć, ale nigdy jeszcze nie miałem włożonych do woreczka aż dwustu monów w gotówce. Gdy chcąc dostać gdzieś robotę, chodziłem i pytałem o nią, a wreszcie ją otrzymywałem, wtedy pracowałem nie szczędząc sił. Jednakże zarobione pieniądze musiałem zawsze pooddawać ludziom na prawo i na lewo. Gdy mogłem coś zjeść płacąc za to gotówką, był to dla mnie przejaw dobrobytu; przeważnie jednak zwracałem to, co pożyczyłem, i jeszcze jakaś reszta pozostawała w długu. Gdy wsadzono mnie do więzienia, dostawałem jedzenie nie pracując na nie. Już za to samo nie mogę nie być wdzięczny władzom. Ponadto zaś po wyjściu z więzienia dostałem te dwieście mon. W ten sposób mogłem i codziennie jeść to, co otrzymywałem od władz i wziąć ze sobą nienaruszone dwieście mon. To, że mogłem wziąć takie pieniądze jako własne, zdarzyło się mi po raz pierwszy. Dopóki nie znajdę się na wyspie, nie wiem, jaka mnie tam robota czeka. Cieszę się jednak, że tych dwieście monów posłuży mi jako kapitał zakładowy w przedsięwzięciu, jakie stanie się moim udziałem w wygnaniu.

Po tych słowach Kisuke zamilkł.

Shobei wprawdzie odezwał się: — Hm, tak to jest..., ale ponieważ wszystko, co usłyszał, było dla niego zbyt niespodziane, również nie mogąc więcej powiedzieć zamilkł i zamyślił się.

³ Mon — japońska moneta zdawkowa o najniższej wartości.

Shobei był w wieku powyżej czterdziestu lat i żona wydała już mu na świat czworo dzieci. Ponadto żyła jeszcze jego staruszka matka, tak że w domu było ich siedmioro. Prowadził życie tak oszczędne, że zazwyczaj pomawiano go o skąpstwo; i tak na przykład poza ubraniem, które nosił na sobie podczas służby, miał jeszcze tylko kimono nocne. Na nieszczęście wziął sobie żonę z domu bardzo bogatego kupca. Żona miała wtedy najszczerzy zamiar prowadzić życie z pensji, jaką otrzymywał mąż. Ponieważ u bogatych rodziców wychowano ją w zbytku, nie potrafiła prowadzić życia tak, aby zadowolić męża — to znaczy z zamkniętą sakiewką w ręku. Zwykle pod koniec miesiąca nie mieli już czym płacić rachunków. Wtedy żona pokrywała rachunki pieniędzmi, które potajemnie przynosiła z rodzinnej wioski, bo mąż nie tolerował żadnego zadłużenia. Sprawa ta nie była jednakże nieznana mężowi. Shobei uważał za niewłaściwe nawet to, że gdy nadchodziło któreś z pięciu dorocznych świąt, otrzymywał od krewnych swej żony różne rzeczy. A gdy zbliżały się urodziny dzieci w trzecim, piątym i siódmym roku ich życia i dostawał od tychże krewnych ubranka dla dzieci — nie robił dobrej miny, choć widział, że pomoc ta uzupełniała luki w ich gospodarstwie. Bywało to również przyczyną, że w domu Hanedów, gdzie nie istniało nic, co by mogło naruszyć spokój, powstawały od czasu do czasu burze.

Shobei słuchając teraz opowieści Kisuke próbował porównać swój los z losem aresztanta. Kisuke powiedział, że choć brał zapłatę za wykonaną pracę, tracił ją oddając z ręki do ręki dłużnikom. Doprawdy, smutny to i przykry los. Ale z drugiej strony, gdy spojrzę na swój własny los, jakąż to właściwie różnica będzie między nim a mną. Czyż nie tak samo żyję ja, który pensję otrzymaną od zwierzchników przekazuję natychmiast innym. Różnica między nim a mną to tylko tyle co różnica rzędu na liczydło, przy czym ja nie mam odłożonych nawet tych dwustu monów, za które Kisuke jest tak wdzięczny.

Skoro więc uwzględnimy tylko ową różnicę rzędu czy stopnia, nie ma nic niewłaściwego w tym, że Kisuke cieszy się z tych marnych dwustu monów, uważając je za majątek. Takie przeżycia mogę jeszcze w sobie odtworzyć. Ale choć próbuję jakoś wczuć się w ową różnicę rzędu, najbardziej mnie dziwi ten sam brak chciwości, to jego świadome umiarkowanie w stosunku do posiadania.

Kisuke z wysiłkiem poszukiwał po świecie pracy. Gdy tylko ją znalazł, nie żałował w pracy rąk i był zadowolony, jeśli miał co włożyć do ust. Dostawszy się potem do więzienia, dziwił się, że może dostawać to, tak trudne dotąd do zdobycia pożywienie bez pracy, niemal jakby darowane przez niebo, toteż poczuł w sobie zadowolenie, jakiego nie zaznawał dotąd nigdy w życiu swoim.

Shobei, choć dostrzegał podświadomie różnicę między nim a sobą, teraz dopiero zrozumiał, jak ona jest wielka. W życiu prowadzonym przez nich i opartym na jego pensji, choć bywały niekiedy braki, to wydatki przeważnie równały się dochodom. To było życie w pełnym tego słowa znaczeniu. Ale w tym stanie rzeczy niemal nigdy nie odczuwał zadowolenia. Zarówno szczęśliwe, jak i nieszczęśliwe momenty mijały u niego zwykle bez doznań. Jednakże w głębi serca zrodziła się i wkrótce przeniosła na próg świadomości poważna wątpliwość; bo oto uświadomił sobie, że gdy w jego życiu przejawiały się obawy, co na przykład zrobi, jeśli nagle zwolnią go ze służby, lub jeśli ciężko zach-

ruje, wówczas żona wyciągała od swych krewnych pieniądze i dopiero wtedy strach znikał.

Na czym więc właściwie ma polegać ta różnica? Sądząc z pozorów, wystarczyłoby uznać za jej podłoże to, że Kisuke nie ma bliższej rodziny, podczas gdy ja mam. Ale to kłamstwo. Gdybym nawet był sam jeden, nie miałbym i wtedy nawet części tej pogody ducha, jaką widzę u Kisuke. Sedno rzeczy tkwi tu chyba znacznie głębiej — myślał Shobei.

Shobei próbował przemyśleć — choć w sposób niesprecyzowany — mechanizm życia ludzkiego. Gdy organizm ludzki opanuje choroba, pojawia się myśl, żeby choroba się skończyła. Gdy od czasu do czasu brak czegoś do zjedzenia, myślimy, jakby tu można się najeść. Jeśli w jakimś okresie czasu nie mamy zapasów na zimę, marzymy, żeby choć trochę tych zapasów zdobyć, a jeżeli nawet mamy zapasy zrobione, to znowu biedzimy się myślą, żeby je jakoś powiększyć. Gdy się tak systematycznie spróbuje rzecz przemyśleć, nie można być pewnym, czy człowiek jest zdolny w którymkolwiek momencie przerwać swą zapobiegliwość. Obecnie jednak Shobei zobaczył to na własne oczy; oto Kisuke pokazał, że taki marsz w życiu można przerwać.

Shobei patrzył teraz na Kisuke jakby na nowo, z podziwem w oczach. I wydawało mu się jakby głowa Kisuke, odcinająca się na tle nieba, promieniała.

Shobei, nie spuszczać wzroku z twarzy Kisuke, znowu zaczął:

— Kisuke-san!

Tym razem powiedział „-san“, ale w istocie nie było żadnej dostatecznej przyczyny, by w ich sytuacji posługiwać się tytułami. Shobei sam nie wiedział, czy ten głos wyszedł z jego ust, czy wpadł do jego ucha, ale dostrzegł niewłaściwość takiego tytułowania. Tylko że teraz nie było już możliwe cofnąć tego, co się powiedziało.

— Słucham! — odpowiedział Kisuke, który również zdawał się owo łaskawe-san uważać za nieuzasadnione, i z szacunkiem oczekiwał, co Shobei dalej powie.

Shobei, pokrywając nieco swe zmieszanie, odezwał się:

— Różne już rzeczy słyszałem, ale ty podobno jesteś skazany na wygnanie za zabicie człowieka. Czy nie zechciałbyś przy okazji opowiedzieć mi o sobie o przyczynie tego?

Kisuke, który zdawał się być tym bardzo speszony, odpowiedział:

— Skoro pan sobie tego życzy...

I począł cichym głosem opowiadać.

— Przestępstwo, które poza udziałem mej woli popełniłem, jest doprawdy dziwne, a okropności tego czynu nie da się właściwie przekazać w słowach. Gdy myślę o tym z perspektywy czasu, sam nie mogę wyjść z podziwu, jak się to mogło stać. Działiałem wtedy zupełnie jakby we śnie.

Rodzice zmarli mi w czasie epidemii, gdy jeszcze byłem mały i zostałem na świecie sam ze swym młodszym bratem. Początkowo darzyli nas współczuciem najbliżsi sąsiedzi, można dodać, że robili to akurat w taki sposób, jak się okazuje politowanie szczeniętom urodzonym we własnym domostwie; używano nas do różnych posyłek w obrębie sąsiedztwa, nie zaznawaliśmy jednak ani głodu, ani chłodu i tak chowaliśmy się. Gdy już potem podrośliśmy i szukaliśmy pracy, stanowiliśmy faktycznie coś w rodzaju nierozdzielnej pary i stale przebywając jeden przy drugim pomagaliśmy sobie wzajemnie przy pracy.

Aż przyszła zeszłoroczna jesień. Wraz ze swym bratem dostałem się do tkalni w rejonie Nishijin, gdzie zaczęliśmy pracować jako robotnicy placowi. Wtedy to mój brat zachorował i nie mógł dalej pracować. Sypialiśmy wówczas razem w ziemiance na Kitayama, a gdy szedłem do tkalni, przechodziłem przez most na Kamiyagawa. Gdy wracałem do domu, zwykle po ciemku, z zakupionym jedzeniem, brat oczekiwał mnie. A ponieważ ja sam pracowałem na nas obu, wyrażał gorąco swą wdzięczność. Pewnego dnia, gdy wróciłem jak co dzień spokojnie do domu, brat mój leżał bezwładnie na posłaniu, a wokół niego było pełno krwi. Przerażony wypuściłem z ręki niesioną łubiankę bambusową i coś tam jeszcze; podszedłem do niego pytając: Co się stało? Co się stało?... Wtedy mój brat odwrócił swą zupełnie białą twarz, umazaną z obu stron krwią od policzków aż do podbródka, i popatrzył na mnie, lecz nie mógł nic powiedzieć. W zakrwawionych ustach aż świszczało mu przy każdym oddechu. Ponieważ nie mogłem zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć, powtarzałem: Powiedz, co ci się stało! Może miałeś krwotok?... Gdy starałem się jeszcze bardziej zbliżyć do niego, brat oparł prawą rękę o posłanie i uniósł nieco tułów. Jego lewa ręka mocno naciskała okolice pod brodą, a spomiędzy palców widać było kawały szerniałej krwi. Brat mój — zdawało się — zabraniał mi wzrokiem zbliżyć się do siebie, poruszał jednak ustami. Wreszcie zdołał wymówić: „Zawiniłem. Przebac mi, proszę. Myślałem, że jestem tak beznadziejnie chory, że uraduje cię moja szybka śmierć. Myślałem, że jak przetnę sobie tchawicę, zaraz umrę, ale tylko oddech zaczął się tamtędy przedostawać i nie mogłem umrzeć. Chciałem ciąć głębiej i z całej siły nacisnąłem, lecz ostrze ześliznęło się na bok. Nie miałem już siły go wyciągnąć. Zdaje mi się, że gdybyś je zdołał wyciągnąć, mógłbym umrzeć. Nie mogę już mówić, tak mnie boli. Proszę, pomóż mi, wyciągnij!“. Tu brat zwolnił nieco ucisk lewej ręki i natychmiast oddech zaczął się tamtędy wydostawać. Nie wiedziałem, co powiedzieć; nie mogłem nawet głosu z siebie wydobyć; patrzyłem milcząc na przerżniętą szyję brata. Prawdopodobnie trzymał jakoś brzytwę prawą ręką i ciął wpoprzek tchawicę; cięcie dokonane w ten sposób nie mogło być śmiertelne; dopiero potem zapuścił brzytwę głębiej, sztychem. Rękojeść wystawała z rany na jakieś dwa cale. Patrzyłem na twarz brata nie mogąc zdecydować się, co robić. Brat utkwiał we mnie nieruchomo wzrok. Powiedziałem wreszcie: Poczeka, zawołam lekarza! Brat spojrział na mnie z wyrzutem i znowu przyciskając mocniej lewą dłoń gardło, powiedział: „Po co mi lekarz? O, jak mnie boli! Pręde, wyciągnij! Proszę cię!“. Czułem, że tracę panowanie nad myślami i patrzyłem tylko na twarz brata. W takich momentach — dziwna rzecz — mogą przemawiać oczy. Oczy mego brata mówiły: Zrób to, szybciej, szybciej! — i patrzył na mnie jakgdyby z wyrzutem. W głowie mej nagle poczęło huczeć, jakgdyby toczyły się przez nią koła dźwigów. Lecz oczy brata mego nie odstąpiły od strasznego żądania. Wyraz wyrzutu w jego oczach pogłębiał się coraz bardziej, aż wreszcie stały się one straszne i srogie, jakby patrzyły w twarz wroga. Widząc to, zrozumiałem wreszcie, że muszę zrobić tak, jak chciał brat. Powiedziałem: Cóż mam począć? Wyjmę ci to! — Wtedy oczy brata mego zmieniły nagle barwę, zobaczyłem w nich pogodę i niemal rozradowanie. Po desperacku, chyba bez jednej chwili namysłu, przykłęknąłem i pochyliłem się ku przodowi. Brat mój zwolnił prawą rękę, na której był oparty, łokciem ręki trzymanej dotąd na gardle podparł się o posłanie i przewrócił na bok. Uchwyciłem mocno oprawę

brzytwy i czym prędzej ją wyciągnąłem. Wtedy to zamknięte dotąd drzwi frontowe naszego mieszkania otworzyły się i weszła przez nie staruszka z sąsiedztwa. Była to kobieta uproszona przeze mnie, by w czasie mojej nieobecności podała bratu lekarstwo lub w czymś mu pomogła. Ponieważ w mieszkaniu było już dość ciemno, nie wiem, co staruszka owa mogła z tego wszystkiego zobaczyć; w każdym razie z krzykiem otworzyła drzwi i zostawiając je na oścież, wybiegła. Gdy wyciągałem brzytwę, uważałem tylko, by wyciągnąć ją szybko i bezpośrednio. Jednak w wyniku wyciągania przeciąłem — зда-je się — miejsca dotąd nie przecięte. Ponieważ ostrze było skierowane na zewnątrz, przeciąłem chyba zewnętrzne tkanki. Trzymając w dłoni brzytwę patrzyłem nieprzytomnie na to, jak staruszka owa weszła, a potem wybiegła. Po jej oddaleniu się wróciła mi świadomość i spojrzałem na brata — oddech jego stawał się już coraz słabszy. Z rany wydobywała się masa krwi. Wkrótce przyszło kilku starszych panów, by przeprowadzić mnie do urzędu. Zanim odeszliśmy, położyłem brzytwę obok zmarłego brata i popatrzyłem przez chwilę na jego twarz z na wpół otwartymi oczami.

Kisuke, który miał początkowo opuszczoną nieco głowę, ale w toku opowiadania śledził z dołu wzrokiem twarz Shobeja, zakończywszy swą opowieść, zapatrzył się przed siebie.

Opowieść Kisuke była zbudowana bardzo logicznie, można by niemal powiedzieć, że aż nazbyt logicznie. Pochodziło to stąd, że przez jakieś pół roku rozpamiętywał nieskończoną ilość razy ówczesne wydarzenia i za każdym razem, czy pytany przez urzędników, czy badany w komendanturze miejskiej, był zmuszony przedstawiać ją z coraz to większą precyzją.

Shobei słuchał wszystkiego mając wrażenie, jak gdyby widział to na własne oczy. Jednakże wątpliwość, która pojawiła się w nim od połowy opowieści — czy można mianowicie tę sprawę nazwać ostatecznie bratobójstwem lub zabójstwem — nie chciała ustąpić z jego myśli nawet po zakończeniu opowiadania. Jego młodszy brat prosił o wyciągnięcie brzytwy z rany, ponieważ po jej wyciągnięciu spodziewał się umrzeć; wynika z tego, że skoro Kisuke brzytwę wyciągnął, spowodował śmierć brata, a więc zabił. Ale wydaje się, że gdyby nawet Kisuke zostawił wszystko, tak jak było, brat jego i tak musiałby umrzeć. Chciał jednak prędzej umrzeć, gdyż nie mógł ścierpieć bólu; Kisuke natomiast nie miał już siły, by dłużej patrzeć na jego cierpienia. Z myślą o wybawieniu brata od cierpień odebrał mu życie. Czy to jest właściwie przestępstwo? Zabijanie jest bez wątpienia przestępstwem, ale w tym wypadku, skoro pobudką czynu było uwolnienie brata od cierpień, rodziły się wątpliwości, których nie można było już rozproszyc.

Po wielu próbach przemyślenia tej sprawy w umyśle Shobeja zrodziła się konkluzja, że za wyrok odpowiedzialni są ludzie znaczniejsi od niego i że on powinien ufać jedynie władzy. Toteż Shobei natychmiast uznał wyrok komendantury za swój własny. Mimo to jednak nie zyskał poczucia, że wszystko już jest dla niego jasne w tej sprawie, ale w komendanturze o bliższe wyjaśnienia nie miał specjalnej chęci pytać.

W ciemną, coraz to głębiej zapadającą noc łódź „Takase“, wioząca dwóch milczących ludzi, ślizgała się dalej po czarnej powierzchni wody.

Przełożył z japońskiego
Wiesław Kotański

WŁADYSŁAW TUBIELEWICZ

‘ATĀBĀT¹

Pełne wyrazu, niespodziewanie proste i w prostocie swej piękne jak czerwonożłota róża na tle błękitu — takie są piosenki beduinów irackich. Nazywają się ‘atābe, co w dialekcie irackim oznacza „skargę“. Tematykę tych pieśni stanowią właśnie wyrzuty wobec ukochanej, skargi na rozstanie tak częste w beduińskim życiu, gdy zakochani na swe nieszczęście należą do dwóch różnych szczepów, które rozdzielają się po krótkim postoju przy studni i powodują rozstania dwojga zakochanych, których miłość jeszcze się nie zaczęła...

‘Atābāt mają formę czterowierszy, w których pierwszy, drugi i trzeci zakończone są monorymem, czwarty natomiast kończy się zawsze zgłoską *bā*. Uczony niemiecki Eduard Sachau, który pod koniec XIX w. zebrał materiały oryginalne tych pieśni, zastrzega w swym wstępie, omawiającym pochodzenie i formę tych czterowierszy, że nie mają one nic wspólnego z typem czterowierszy poezji perskiej². Jakkolwiekby jednak było, kwestia ta nie może być przesądzona jednym zdaniem, nie popartym istotnymi dowodami naukowymi, i mogłaby stanowić temat osobnych badań nad pochodzeniem form tego rodzaju samorodnej twórczości.

Dla przykładu przytoczę tu w oryginale i w transkrypcji siódmy czterowiersz naszego zbioru. Metrum każdej ataby jest katalektyczny *rağaz*:

— ‘ — — — ‘ — — — ‘

تبات الناس منسره وانابات	<i>tebāt ennās munsarra wānābāt</i>
واعض الشف بالضحك والنبات	<i>wa‘oḍḍ eššef biḍḍāḥiḥ wannābāt</i>
ونوب تلقائي بهما وانابات	<i>wnôb tilqānî bihemman wānābāt</i>
ونوب اصفح الدليل من العتابا	<i>wnôb ašfaḥ liddelîl min-al‘atābā.</i>

1.

Na wielbłądzie *belūnî*³ wyruszam, pojedę
za tymi co zranili mnie miłością swoją.

Od dnia rozstania z nimi trwa samotność,
a żółkłej twarzy leki nie pomogą.

¹ Materiały oryginalne czerpałem z E. Sachau, *Arabische Volkslieder aus Mesopotamien*, Abhandlungen d. königl. Akademie d. Wissenschaften zu Berlin, 1899.

² Tamże, s. 17.

³ W oryginale نقاة البلوني — „klacz *belūnî*“ — z raczej rasy wielbłądów zw. *belūnî*.

2.

Napełniać *ġirbān*⁴ swoje schodziła nad wody;
jej twarz — jak róża z księżyca promieni...

Hadela — kiedy przejdzie — skała się różowi
i rozkwitają róże *qaiṣūn*⁵ — wielkiej ceny.

3.

O ty, której włosy sięgają do ramion,
och, oczu łzy, co na policzku się pojawia...

Miesiącu zły, bodaj byś wcale się nie zaczął,
żeby przez ciebie się rozstało dwoje przyjaciół.

4.

Ja pójdę, na górę *Sinġar* wejdę,
z tchnieniem poranka wyślę list do ciebie.

Kiedy żywicą listy będą pisać⁶ —
to wtedy chyba się odnajdą zakochani.

5.

Tyś miała włosy rozwiane — do ramion...
łzy z oczu toczą się na twarz przejrzyste.

Gdzie nie ma dziewcząt — spustoszały namiot
runie, choć miał by podpory złociste.

6.

Na oczy swoje kładziesz pyłek antymonu⁷:
na moje serce — rozżarzony węgiel...

gdyś nawet ptakiem — jednak siądziesz wreszcie,
ja wtedy sidła zastawię na ciebie.

7.

Radośnie ludzie spędzą noc — ja nocą
zębami śmiechu usta będę gryźć...

i znów zastaniesz mnie smutnego nocą,
wesołka z progu mego wygnam znów...

⁴ Woryginalne جربان — buklaki na wodę związane po dwa razem.

⁵ قيصون — rodzaj nadzwyczaj pięknie pachnących róż.

⁶ Zwrot, który w polskim można by przyrównać do „pisanie na wodzie”.

⁷ Antymon — woryginalne al-kuhl — puder kosmetyczny przyrządzany z antymonu. Czernidło na rzęsy i brwi.

SABAHATTIN ALI

C Z A J N I K

W suterenie, w małym szpitalnym pokoiku z oknami przysłoniętymi żelazną kratą, leżało nas pięciu. Ponieważ więzienie nie miało własnego lekarza ani ambulatorium, chorzy więźniowie leżeli w ogólnych sypialniach dopóki ich stan się nie pogorszył i — o ile tylko udało im się zdobyć pieniądze na furmankę — sprowadzali sobie lekarza miejskiego. Ten stary, wątły człowieczek z siwymi, rozdzielonymi starannym przedziałkiem włosami badał chorych z wyraźną odrazą nie dotykając ich nawet ręką i bojąc się nie istniejącej w zasadzie odpowiedzialności większość z nich kierował do szpitala.

Ponieważ jednak w szpitalu sala przeznaczona dla więźniów nie mieściła więcej niż pięć osób, widać było stale, jak odsyłani przez specjalistę więźniowie wracali do więzienia razem z receptami, na które nigdy nie mieli otrzymać lekarstw, odpoczywając na skraju drogi i paląc chciwie papierosy wciśnięte im przez żandarmów w skute kajdankami ręce.

Leżałem w łóżku cierpiąc na ostre bóle ucha. Osłaniając „czapką“ szklaną gorącej wody z zakroplonym lekarstwem, od rana do wieczora wciągałem przez nos parę; książki czytałem rzadko, często natomiast wyciągnięty na posłaniu wlepiałem oczy w biały tynkowany sufit.

Łóżko obok mnie zajmował pewien kupiec towarów kolonialnych, skierowany na sześciomiesięczne przymusowe leczenie w szpitalu na skutek nadużywania haszyszu. Nigdy nie przesiadywał w ogólnej sali, tylko na korytarzu, gdzie przyjacielsko gawędził z żandarmami. Ponieważ nie był obłożnie chory, a przebywał tu już czas dłuższy, było mu bardzo dobrze między pielęgniarkami i żandarmami, nie miał też żadnych trudności w zaopatrywaniu się w codzienną dawkę narkotyku.

Po drugiej stronie jego łóżka leżał Sulejman efendi, były komornik sądowy, skazany na dwa i pół lata za branie łapówek i malwersacje. Miał zapalenie płuc, ale wydawało się, że mimo podeszłego wieku niebezpieczeństwo już minęło. Młody lekarz-internista uśmiechał się podczas rannych wizyt, głaskał go po plecach i mówił:

— Jakoś wykaraskaliśmy się, ojczel!...

Dwaj pozostali chorzy byli to wieśniacy, skazani za zabójstwo na piętnaście lat. Jeden z nich zabił swego rywala, drugi — sąsiada w czasie kłótni o wodę do nawadniania pola. Obaj cierpieli na jakieś dosyć poważne choroby jelitowe. Przerazająco chudzi, o wyzółkłych twarzach, byli zdumiewająco podobni.

Wydawało się, że w izbie nigdy nikt nie mówi z wyjątkiem Sulejmana efendi.

Kupiec-narkoman, kiedy był w łóżku, siedział na nim ze skrzyżowanymi nogami wlepiając wzrok w pomalowaną na biało poręcz łóżka.

Jeden z chłopów był tak osłabiony, że nie mógł się podnieść z łóżka i cały dzień leżał bez ruchu z twarzą zwróconą do ściany. Drugi, imieniem Satylmysz, był trochę silniejszy. Od czasu do czasu się odzywał, a kiedyś nawet opowiedział, jak raz powalił na ziemię pewnego człowieka, który zaczął się w lesie i próbował zabić własnego ojca.

Sulejman efendi natomiast — mimo wielkiego osłabienia i trudności w oddychaniu — mówił bez przerwy okrągły dzień. Swym bezustannym gadaniem dokuczał posługaczom, którzy wczesnym rankiem przychodzili słać łóżka, pielęgniarzom przynoszącym śniadanie, siostrze wypytującej o zdrowie i wizytującemu lekarzowi. Niczym nie można go było zadowolić. Gdy tylko kogoś przydybał, zaraz zaczynał skarżyć się na innych. W zapale nie zwracał uwagi na to, czy go słucham czy nie, i na temat kupca-narkomana plótł wszystko, co mu ślina na język przyniosła:

— No i co, czy nie jest wszystko tak, jak mówiłem?

Gdy zaś kupiec wszedł do izby, sadzał go na swoim łóżku i obmawiał mnie tak głośno, że wszystko słyszałem:

— No, czy on nie jest głupi? Ciągłe tylko czyta książki i rozmyśla. Ja też dużo czytałem, ale niewiele mi z tego przyszło. Ciekawym, jaki on ma powód do dumy? Ja też jestem panem, ale na nikogo z góry nie patrzę...

I mówił tak dalej, póki rozmówca — nie czujący często nawet potrzeby zachowania pozorów — nie umknął. Chwilami odpoczywał przymykając ze zmęczenia oczy i opierając głowę o poduszkę albo wybałuszał oczy wskutek ataku kaszlu. Gdy jednak tylko zdawał się trochę przychodzić do siebie, zaczynał mówić znowu:

— Zlitujcie się! I to mają być lekarze? To już ja znam się lepiej od nich na tych sprawach... Smarkacz nie odrósł jeszcze od ziemi, a będzie mnie uczył rozumu! Ja też umiałem przyłożyć mu kataplazm. W oczy to doktorowi powiedziałem... A te zastrzyki — to robi w jakieś nieodpowiednie miejsce... A czy w ogóle zastrzyki pomagają przy zapaleniu opłucnej? A potem, jak to on mi stanowczo powiedział: „nie pij herbaty, szkodzi!“ O Allah, Allah! Widziane to rzeczy, żeby komu zaszkodziła herbata?

W tym miejscu przerywał i krzyczał:

— Satylmysz! Przynieś czajnik!...

Satylmysz wyskakiwał z łóżka, na którym leżał, wciągał stare, wielkie szpitalne bambosze na wychudłe nogi, które na kostkach miały odcień woskowej świecy, brał z rozpalonego piecyka imbryk, z okna filiżankę i szedł do „ojca“.

Sulejman efendi wybrał Satylmysza — nie uważając nawet za potrzebne zapytać go o zdanie — na swego osobistego służącego. Wydawał rozkazy z taką pewnością siebie i swobodą, że chłopakowi nawet na myśl nie przyszło nie posłuchać.

— Satylmysz, synu, wynieś tę spluwaczkę!... albo:

— Satylmysz, zawołaj no żandarma, daj mu te pięć piastrow, niech mi kupi cukru!...

Gdy to mówił, wychudły chłopak chwycił cienkimi jak patyki palcami za pręty łóżka i robił to, co mu kazano. Despotyzmowi starca nie potrafili prze-

ciwstawić się nawet żandarmi, którzy chociaż czasem mruknęli coś pod nosem, znosili jednak te dodatkowe zajęcia.

Kiedy Satylmysz napełnił szklanę herbatą i podał ją Sulejmanowi, ten prostował plecy, opierał się o ścianę, wolniutko poruszał wielką głową, świecącą na czubku łysiną, i gładząc ręką gęste wąsy, które wciskały mu się do ust, przygotowywał się do picia. Chociaż siostry szpitalne, zastając go w takiej pozycji, kilkakrotnie zwracały mu uwagę, by nie wychodził spod kołdry i nie opierał się plecami o ścianę, on patrzył za nimi z pełnym lekceważenia uśmiechem i robił nadal to, co uważał za stosowne.

Po wypiciu herbaty znowu żądał od Satylmysza czajnika, podnosił popsutą pokrywę, zaglądał do środka, po czym z miną dobroczyńcy, który podarował co najmniej majątek ziemski, mówił:

— I ty sobie troszkę wypij! — i podawał Satylmyszowi kawałek cukru. Gdy tylko herbata rozgrzała go od wewnątrz, a przerwa między atakami kaszlu była nieco dłuższa, rozgadywał się na dobre.

Jeżeli w pokoju ktokolwiek z nas zaczął mówić na jakiś temat, natychmiast przerywał mu w pół słowa:

— To wcale nie jest tak, jak ty sądzisz... — i sam już mówił dalej. W każdym dopatrywał się jakiejś przywary, każdego chciał pouczyć nie w jednej, ale kilku kwestiach. Nawet biedny Satylmysz, gdy opowiadał o swoich perypetiach, nie mógł uchronić się od interwencji Sulejmana efendi i musiał od starca usłyszeć „prawdę“ o wydarzeniu, którego sam był uczestnikiem. Między jednym atakiem kaszlu a drugim starzec mówił:

— Nie, nie... to wcale nie tak, jak ty mówisz!... Gdybyś ty tam leżał, nie zabiłbyś nie tylko człowieka, ale nawet najmniejszego ptaszka. Nawet nie wiesz, gdzie on tę zasadzkę urządził...

W ten sposób zapuszczał się w długie rozważania na temat miejsca przestępstwa, a rzeczywisty jego uczestnik przysłuchiwał się tym wywodom ze zdziwieniem, a nawet z szacunkiem. To, co mówił ten starszy pan, nie odpowiadało prawdzie, tak jednak zręcznie wiązało się ze sobą, że w każdym razie prawdą być mogło.

Zbliżała się wiosna. W pokoju palił się bez przerwy mały żelazny piecyk. Gdy zaczynały się wieczorne chłody, zziębnięci na korytarzach żandarmi brali swe stołki i przychodzili do naszej izby. Oparłszy broń na ramieniu siedzieli w słabym świetle żarówki żartując z kupcem-narkomanem.

Sulejman efendi, choć wieczorami miewał wyższą temperaturę, nie omijał okazji, by włączyć się do rozmowy. Albo dawał żandarmom rady, albo im za coś wymyślał, a gdy temperatura podnosiła się jeszcze bardziej, zaczynał coś mówić lub krzyczeć bez sensu.

W ostatnich dniach stan jego zdrowia pogorszył się znowu. Było to po części winą pielęgniarzy, którzy przykładając mu w nocy kataplazmy zostawiali go na pół godziny z gołymi plecami, po części jego własną. Kiedy bowiem otwieraliśmy okno, by przewietrzyć zatechłą izbę, nie słuchał nas, gdy mu mówiliśmy, by dobrze okrył się kołdrą, ale nastawiał obnażone piersi na wiatr wpadający przez otwarte okno i mówił:

— Taki wiatr to człowiekowi nie zaszkodzi... To wcale nie jest tak, jak wam się zdaje... Ten wiatr wieje od góry Takkeli i tylko zdrowie człowiekowi przynosi — i wdychał do chorych płuc marcowe powietrze.

Satyłmysz ciągle mu usługiwał w zamian za otrzymywaną raz na dzień szklankę słabo posłodzonej herbaty. Jego wygłodzony żołądek też z pewnością oczekiwał z utęsknieniem tych kilku łyków gorącego płynu, pitych w tajemnicy przed lekarzem. Tymczasem jednak Sulejman efendi nie mógł już pić herbaty oparty o ścianę. Zdarzało się nawet, że płyn rozlewał, jeśli Satyłmysz nie przyszedł mu w porę z pomocą. Ręce zaczynały mu drżeć, oczy wpadały głęboko.

Pewnego dnia posadził chłopaka na łóżku kupca-narkomana i powiedział:

— To wcale nie tak, jak ty mówisz... W ten sposób nie zabija się człowieka... Posłuchaj, ja ci powiem... — i niespodziewanie zaczął na inny temat:

— Naczelný sekretarz kupił sobie za skradzione pieniądze dwa domy i chodzi na wolności, a nas wpakowano do więzienia — przypomniawszy fakt skazania, o którym dawniej nigdy nie mówił. Do odbycia kary pozostawało mu półtora miesiąca i synowi, który odwiedzał go raz na tydzień, wydawał już polecenia w sprawie interesów czekających nań za murami więzienia. Syn trochę niedorozwinięty, który chociaż wyglądał na osiemnaście lat, chodził z głupkowatą miną pięcioletniego dziecka, wysłuchiwał dawanych mu poleceń nie odpowiadając ani słowem i kiwał tylko głową na znak potwierdzenia.

W ciągu kilku dni stan starca się pogorszył. Kości policzkowe wysunęły się jeszcze bardziej, a oczy dziwnie świecące wpadły jeszcze głębiej. We dnie najczęściej leżał nieprzytomny i majaczył, w nocy zaś rzucał się, kaszlał, jakby się miał udusić, i ciągle jęcząc nie dawał nikomu usnąć. Po dwóch nieprzespanych nocach wyrwało się kupcowi-narkomanowi:

— Nie mógłby to już raz zdechnąć!

Tylko Satyłmysz nie zaniedbywał się w swych posługach i za każdym razem, gdy starzec na nowo zaczynał bredzić w malignie, unosił z poduszki głowę i pytał:

— Może wam czego potrzeba, ojcze?

W końcu którejś nocy głos jego zamilkł na zawsze. Dyżurne siostry, które w ostatnich dniach często zaglądały do naszej izby, natychmiast przyszły z noszami i zabrały ciało zmarłego. Wyniosły również jego posłanie. Jeszcze nie skończyły swej pracy, gdy wszyscy czterej pogrążyliśmy się w głębokim śnie.

Po rannej wizycie z korytarza znajdującego się na przeciw naszej izby doszły nas niespodziewanie jakieś rozmowy i odgłosy kroków. Jeden z żandar mów wsuwając głowę przez drzwi powiedział:

— Rodzina ojca się zeszła!...

Po chwili wszedł do izby niedorozwinięty syn zmarłego. Na pustym łóżku rozłożył dość dużą płachtę i wszystko, co zostało po zmarłym na oknie lub pod łóżkiem, zaczął na niej układać. Kilka razy wyciągał rękę po rzeczy kupca, ten jednak niezwłocznie protestował:

— Zostaw ten zegarek!... Czy twój ojciec miał taki zegarek? Nie bądź za sprytny!

Chłopak zebrawszy wszystko, co znalazł, wyszedł z izby. Przez drzwi widać było teraz część korytarza, w którym stało kilka kobiet z gromadką dzieci. Wyglądało to na najście wszystkich krewnych. Znajdująca się wśród nich starsza, dość korpulentna kobieta kazała chłopcu położyć na ziemi przyniesiony węzełek i otworzyć go. Następnie przejrzała wszystkie przedmioty, jakie się w nim

znajdowały, i odwracając się do syna powiedziała kilka słów zaniepokojonym głosem. Chłopak znowu wszedł do naszej salki i rozglądając się dokoła zapytał:

— A gdzie jest nasz czajnik?

Ponieważ od czterech czy pięciu dni nie gotowało się herbaty, ów emaliowany imbryczek z popsutą pokrywką i poobtłukiwaną polewą gdzieś się zawieruszył. W każdym razie musiał go gdzieś zapodziać Satyłmysz. Jego jednak zabrano przed chwilą do laboratorium w celu pobrania treści żołądkowej.

— Nie denerwuj się, znajdzie się! — powiedział kupiec-narkoman.

Na dźwięk tych słów wetknęła przez drzwi głowę owa korpulentna, czerwona na twarzy kobieta:

— Co to znaczy? Oczywiście, że musi się znaleźć!.... — po czym zwróciła się do chłopca i surowo powiedziała:

— Ty na nich nie zwracaj uwagi i tylko dobrze szukaj, Wedzihi, na pewno inne rzeczy także jeszcze pozostały...

Ale czajnika nie było nigdzie. Starannie obmacali zwisającą z poręczy łóżka torbę Satyłmysza zrobioną z amerykańskiego płótna, która zawierała cały dobytek tego biedaka, jednak w jej wnętrzu nie było nic podobnego do czajnika. Kobieta stała przed drzwiami i coś mówiła. Widząc przechodzącą siostrę i pielęgniarkę zatrzymała ich, wciągnęła do salki, po czym zaczęli poszukiwania wszyscy razem.

Cisnąc się i popychając w wąziutkiej izbie przetrząsnęli miejsce pod łóżkiem, kąć zawalony drzewem do pieca i kuferki chorym. Leżałem cicho z twarzą odwróconą do ściany. Żona zmarłego szturchnęła mnie w plecy pytając:

— Pst.... nie wiesz, co się stało z czajnikiem?

— Proszę nie niepokoić chorych! Później się znajdzie! — wtrąciła się siostra. Ale kobieta, jakby tylko na to czekając, wrzasnęła:

— Co to znaczy „później się znajdzie“? Jak się teraz nie znajdzie, to już zginie na zawsze. A gdzież to my się znajdujemy, proszę pani? Przecież to sypialnia więźniów, łóżka złodziejów. Oni potrafią ukraść nawet czernidło z oczu... Czy uczciwy człowiek może mieć z nimi coś wspólnego?

Następnie zwracając się do nas powiedziała jakby z groźbą:

— Powiedzcie, gdzie jest! Bo jeżeli u któregoś z was się znajdzie!... — i kolejno przebiegła wzrokiem po każdym z nas.

Siostra wzięła ją pod rękę i wyprowadziła na korytarz, ale kobieta nie zamilkła ani na chwilę.

— Do dyrektora pójdę! Do naczelnego lekarza! — darła się na korytarzu. Chwyciła za ramiona żandarmów:

— Słuchajcie, kochani, wy znacie odpowiednie sposoby, niech oni się zaraz przyznają i wyciągną stamtąd, gdzie wsadzili!

W tym momencie wszedł Satyłmysz prowadzony pod ramię przez dwóch posługaczy. Po przebytych cierpieniach znajdował się w stanie godnym politowania. Gdy był jeszcze we drzwiach, kupiec zapytał go:

— Satyłmysz, nie widziałeś gdzieś czajnika staruszka?

Chłop kładąc się do łóżka z pomocą posługaczy kiwnął głową na znak potwierdzenia i powiedział do jednego z nich:

— Przynieś go zaraz! Potem zwrócił się do nas:

— Wieczorem stan ojca raptem się pogorszył — powiedział. — Spojrzałem, wydawało mi się, że jego czas już nadszedł, żywej duszy przy nim nie było, chciałem mu wlać do ust łyk wody. Dałem czajnik Izmailowi i posłałem go do kuchni. „Przynieś trochę ciepłej wody!” powiedziałem. Ale zanim ten zdążył wodę przynieść, ojciec wyzionął ducha. Tak los zrządził. Tak było mu przeznaczone.

Posługacz Izmail przyniósł czajnik i oddał go kobiecie. Matka i syn zaczęli na nowo przewiązywać węzełek. W tej chwili nadszedł dyrektor administracyjny szpitala i powiedział kilka słów do kobiety. Ta znowu poczerwieniała na twarzy:

— Co to ma znaczyć?... Jak umarł pod opieką państwa, to niech państwo sprzątnie jego ciało! Ja ręką nie tknę i grosza nawet nie dam. Kiedy zabiliście mi męża gdzieś w kącie więzienia, w którym go trzymaliście do ostatniej chwili, to teraz chcecie, żebym zabierała jego zwłoki?... Nie chcę. Róbcie sobie, co się wam podoba!...

Wtykając synowi węzełek do ręki powiedziała:

— Czego stoisz? Idź! Jak jeszcze trochę poczekamy, to nas całkiem ograbia... Następnie odwróciła się do stojących w pobliżu kobiet i dzieci i powiedziała:

— A was też!...

Jeden z chłopców, wyglądający najwyżej na dziesięć lat, zapytał:

— A nie zobaczymy stryjka?

— Nie chcę... nie mogę... serce mi pęknie... Czy się kiedy kto dowie, do jakiego stanu oni doprowadzili mojego męża, silnego jak lew? Zlitujcie się, dzieci! Czy zniosą to wasze serca?... Jestem zrujnowana!

Krzyczała głośno i zanosila się od płaczu. Wyliczała zalety zmarłego, lamentowała, że umarł niewinnie w więzieniu, szlochała.

Teraz syn zaczął ją popychać. Cała rodzina krzycząc i płacząc oddalała się w drugi koniec korytarza.

W tej chwili Satylmysz powiedział do wchodzącego posługacza Izmaila:

— Rozwiąż mi tę torbę!

Rozchyliwszy torbę z amerykańskiego płótna wyciągnął z niej parę wełnianych pończoch, kilka haftowanych chustek, jedną zmianę bielizny, a na koniec mały woreczek, który wypróżnił. Po białej kapie łóżka potoczyły się trzy dziesięciokuruszowe monety. Satylmysz wziął dwie i podał Izmailowi.

— Weź to i zrób dobry uczynek: kup dzbanek — powiedział. — Zmarłego pochowają pewnie bez całunu, to mu chociaż teraz wylej na mogiłę ze dwa dzbanki wody...

Resztę przedmiotów schował do torby, powiesił ją przy sobie i kładąc zmęczoną głowę na poduszkę wlepił oczy w biały sufit.

Przełożył z tureckiego
Edward Tryjarski